

Kurier 665

MUZY



**Premiery  
szczecińskie**

# Czereśnie, jabłonie i PKP

LUBIĘ Agnieszkę Osiecką. Jedyną chyba tekściarkę polskiej estrady, która jest poetką. I jedyną poetkę, która czuje piosenkę - jej konwencję, jej ducha. Może należałoby zresztą napisać to w odwrotnej kolejności, bo Osiecka jest na pewno poetką, pisarką, której oryginalność w tym się między innymi przejawia, że pisze piosenki nie w zastępstwie wierszy, ale jako wiersze właśnie. Pełne liryki, a pozbawione zadęcia „prawdziwej” poezji, gorzkie i bardzo osobiste. Pozostaje wierna śpiewanej literaturze - choć ma za sobą udane przygody z prozą, teatrem i tomikami wierszy - od wielu lat. A przez te lata - od STS-u do dziś - umiała stworzyć, rzecz rzadka, własny, rozpoznawalny styl.

Jest też Osiecka w tych tekstach bystrą, pełną dystansu, ale i emocji obserwatorką codzienności, kronikarką społecznych, lecz może bardziej jeszcze obyczajowych przemian... Nie bez kozery więc program do „Apetytu na czereśnie” skomponowany został w ten, a nie inny sposób: składają się nań takie właśnie kronikarsko-liryczne teksty piosenek i... daty. Polskie daty, kalendarium PRL. Zamknięte rokiem 1968. Tym akurat rokiem, bo „Apetyt...” miał swoją prapremierę w roku 68, w Teatrze Ateneum. To wszystko sprawia zaś, iż szczeciński spektakl - chcąc nie chcąc - wpisywał się w ów czas przeszły, miniony, tak w nas wszystkich wciąż obecny. Ale...

- No, właśnie - tu zaczyna się problem. Bo „Apetyt...” jest historią dwojga ludzi na tle konkretnych wydarzeń. Będących w dużym, lirycznym skrócie przedstawionymi dziejami PRL. Polski Ludowej powojennej i gomułkowskiej. Głównym walorem tego musicalu o polskich szarych drogach, o miłości, która się szamoce pomiędzy prowincją a tęsknotą do tej Warszawy, gdzie atrakcją są Łazienki i supersam, jest więc właśnie mały, gorzki realizm. Tyle że walor ów stał się mocno kłopotliwy. Bo co zrobić z klimatem, realiami, czytelnymi u progu gierkowskiej dekady, i później, lecz dziś już będącymi tylko kartką z pożółkłego kalendarza? Owszem, można to wszystko ukazać jako historię uniwersalną, ot, taką nieco retro.

Ale odnoszę wrażenie, że autorzy spektaklu nie do końca byli pewni, jak to uczynić? No, bo kim są - ona i on, ci, co spotkali się w wagonie PKP, gdzie akurat nie ma kawy, a jest (cud!) piwo? Nie naszymi współczesnymi przecież. A jeśli tak, to jako para z lat 50., dzisiaj powinni być po sześćdziestątce. Z oczywistych względów bohaterowie spektaklu są dużo młodszy. Więc może opowiadają tę historię ci, co żyją w roku 1968? Może, ale dla dzisiejszego widza karkołomny to wysiłek: identyfikować się z bohaterami sprzed tylu lat, którzy są trochę wtedy, trochę jeszcze dawniej (retrospekcje), ale trochę też i nasi, terazniejsi. W efekcie - spektakl gubi się w czasie i przestrzeni.

Szkoda, bo „Apetyt...” miał szansę być czymś więcej, niż się stał. Trzeba było jednak wyraźniej zaznaczyć jego czasowe ramy, i w ogóle nadać w nim c z a s o w i inną rolę.

A tak - pozostaje nam cieszyć się tym, co pozostało. A zostało sporo: bo Osiecka liryczna, Osiecka mądra i z humorem, często cierpkim, podszytym łezką, nie zestarzała się (na ogół) w swoich

wiary w to, iż miłość to przyprawa życiu niezbędna. A tych chyba nie brak, bo spektakl się podoba.

Swoją drogą, przydałby się nam jakiś nowy musical Osieckiej, patrzący na polską miłość z dzisiejszej perspektywy. Bo i dat nam przybyło i doświadczeń i goryczy. A codzienność wokół tak bujna.

Artur D. LISKOWACKI

tekstach. I siermiężna miłość z PRL-u, widziana przez (brudną, no - powiedzmy, że zamgloną) szybę wagonu PKP, w którym to dwoje świeżych rozwodników gra

Teatr Polski: Agnieszka Osiecka „Apetyt na czereśnie”, reż. T. Wiśniewski, muz. M. Małecki, scen. M. Treutler. Premiera: 16 listopada.



Barbara Dziekan i Michał Janicki

w minione, stracone, wytęsknione, ale i (patrz finał) odzyskane - bawi, wzrusza, angażuje emocje. Bo to, że zmieniły się realia społeczne i polityczne nie zawsze ma wpływ na to, jak się nam w naszej polskiej prywatności wiedzie. Dlatego publiczność reaguje na spektaklu żywo, rozpoznając najwyraźniej swoje tęsknoty, gorycze i przygody serc.

W czym też zasługa aktorów. Przyznam, iż miałem obawy, czy - przepraszam za niezbyt może eleganckie uwagi na temat wieku - Barbara Dziekan i Michał Janicki (różnolatkowie przecież) będą stanowić wiarygodną parę. Ale stanowią! Co jest efektem nie tyle postarzenia Janickiego siwizną, tudzież okularami, ile osobowości obojga wykonawców. Śpiewających z kulturą wokalną (że Dziekan to potrafi wiadomo nie od dziś), zręcznie wcielających się w różne postaci i różny wiek swych bohaterów. Czyniących to z subtelnym dystansem do granych ról.

Zastrzeżenia budzi natomiast scenografia. Natrętnie „ładna”: kwitnące drzewa okalają gęsto dwie ławki - będące też wagonem - a na tych drzewach czasem lampki migocą, ni to z balu studentów (jest taka scena), ni z rimizy. Przypomina to piosenkę z innego, znanego musicalu Osieckiej („Niech no tylko zakwitną jabłonie”). Ale tu ciut pachnie kiczem. Nawet jeżeli to miał być taki umowny tylko, ironiczny symbol naszych tęsknot.

Lecz „Apetyt...” i tak się sam obroni. Jest bowiem inscenizacją zgrabną, sympatyczną, adresowaną do tych, którzy w pośpiechu codzienności nie utracili jeszcze